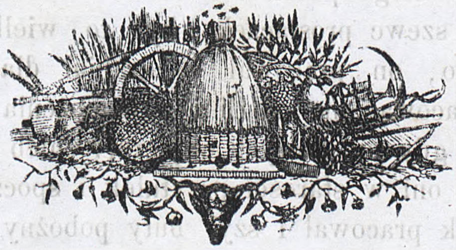
Tom XVI. Nr. 11.

11. kwietnia 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Świętosław.

Za świetnych czasów jagiellońskich, gdy żyli w Polsce św. Szymon z Lipnicy, św. Izajasz Boner, Stanisław z Kazimierza, gdy kwitnęła wiara gorąca, miłość ojczyzny wielka, nauka znakomitych mężów, a stary Kraków królewskim jaśniał blaskiem, szkoła zaś krakowska matką była świętych i uczonych; na jednej ubogiej ulicy tego Krakowa, w nędznym domku, żył młody, biedny szewc, syn wieśniaków z Sławkowa, imieniem Świętosław.

Od świtu do nocy pracował i robił obuwie, nieraz o chlebie i wodzie dzień przebył, nieraz w noc późną przy bladem światełku przesiedział nad szydłem i skórą, a jednak codziennie prawie pieśń nabożna wesoło z okienka jego izdebki płynęła ku niebu i dawała znać o spokojnem sumieniu ochoczej pracy i radośnem sercu biednego robotnika.

Sierota, sam jeden, a przecie tak ubogi i głodny nieraz, dla kogoż tak pracował? czemu owoców tej pracy nie było na nim i w koło niego? Chleb czarny, suchy, dzban wody, wytarta

i licha kapotka, toż cały jego zarobek pilnej pracy i młodych sił? O gdybyście wiedzieli dla kogo on pracował, dla kogo nie dosypiał, dla kogo pościł tak ostro a tak ochotnie i wesoło!

Ubogi ten szewc prostaczek, był to wielki wzór świętej miłości bliźniego, on pracował i zarabiał dla biednych, dla tych, co już pracować nie mogli i wspomożenia nie mieli. Nie czuł on głodu, gdy ci, których wspierał, chleb mieli, nie czuł zmęczenia, gdy oni w starości przytułek i spoczynek mieli.

I długo tak pracował i szył buty pobożny Świętosław, a szyjąc nieraz myślał, jakby też rad kiedy służyć w winnicy Pańskiej i duszom nieśmiertelnym być pożytecznym — bo prosty ten młodzieniaszek choć nieuczony od nikogo, zrozumiał za łaską Bożą, że człowiek powinien być coraz doskonalszy — umiłował serdecznie Pana Boga i bliźnich, i mało mu się zdawało, prawie niczem, co czynił dla bliźnich.

W cichości serca wzdychał on zawsze do stanu kapłańskiego, ale wspomniawszy na swoją prostotę, niewiadomość, smucił się pokornie, zapłakał nieraz, ale niezmordowanie pracował dalej.

Ta chęć poświęcenia się Bogu pomimo pracy, rosła nieustannie w sercu młodzieńca, a Bóg sam pokrzepił go nadzieją i pociechą i zesłał mu cudowne widzenie. Pewnej nocy zerwał się ze snu, myśląc, że już dzień świta i wybiegł przed próg swojego domku — aby się przekonać, w tem, o dziwo! wielka jasność uderzyła jego oczy. Nie było to światło słońca, nie był to promień xiężyca, ale zdawało się, że przezroczyste perły i tęczowe blaski przyświecały z nieba ziemi.

Wśród tej tajemniczej jasności, lud jakiś w starodawnych szatach przechodził i ciągnął wszystek do królewskiego zamku na Wawelu. Byli tam kapłani i rycerze, starzy i młodzi, dziewice i matrony, jedni szli żwawo, drugim to z trudnością przychodziło, ale nareszcie sprostali tamtym a wszyscy do jednego dążyli kresu. Nagle wśród tego wędrownego tłumu, ukazał się mąż bardzo wspaniały i piękny w biskupiej szacie, który błogosławił na obie strony lud idący, a takie światło biło od niego, że gdy przechodził koło chaty Świętosława, ten pochylił się olśniony i upadł na kolana, ale gdy minął go, porwał się

młodzieniec, pobiegł za nim i przejęty ciekawością, pytał się ludu wędrownego:

— Ach powiedźcie mi, kto wy jesteście, kto jest ten biskup?

Na to jeden z starców odrzekł mu:

— To jest Stanisław, biskup krakowski, a ten lud wszystek to wierni synowie kościoła i Polski, swej ojczyzny, którzy nie zrażają się żadnym trudem, kiedy idzie o chwałę Bożą i dobro rodaków. Św. Stanisław opiekuje się ludźmi dobrej woli i błogosławi im po wszystkie wieki.

Zadumał się Świętosław, jasność zniknęła a jutrzenka zwykła zaczęła świtać na niebie. Był to sen tylko, ale młodzieniec pojął, że Bóg mu zesłał widzenie, aby się pocieszył w pragnieniu swojem i nie bał się żadnych trudności, ale jak ów lud Boży pod opieką patrona Polski i Krakowa, postępował drogą zbawienia.

Rozmyślał jeszcze jakiś czas Świętosław przy swojem rzemiośle nad sobą, nad widzeniem dziwnem, nad żądzą swą służenia Bogu w stanie kapłańskim — a nakoniec po gorącej modlitwie z przyczyną św. Stanisława, rzucił się na ciężką i trudną drogę, ale na którą wzywało go rzeczywiście natchnienie Boże. Zaczął się uczyć w szkołach, mozolił się, ale gorliwością łamał mozoł i prześcigał w naukach drugich, Bóg mu dopomagał, zagrzewał i błogosławił, w niewiele lat dopiął czego pragnął — został kapłanem, sługą i namiestnikiem Bożym i dusze bliźnich mógł prowadzić do nieba.

Wtedy to Świętosław był prawdziwym aniołem wsparcia wszystkich nieszczęśliwych, wielkim opiekunem ubogich rzemieślników i oświeceniem prostaczków. Stan wiejski, w którym się urodził, szanował szczególnie i był mu serca drogi. Słynnym był spowiednikiem i pracował wiele nad poprawą i doskonaleniem tych, co mu sumienie swoje powierzali.

W umartwieniach był gorący, i tak uczynił sobie ślub, milczeć zawsze o wszystkich rzeczach niepożytecznych i światowych, a rozmawiał tylko o rzeczach wiary i zbawienia. Ukochany od ubogiego ludu, ulubiony od świętych mężów, którzy wówczas żyli, zasłynął świątobliwością, za życia już

polecano się z ufnością jego modlitwom, a po śmierci wielu doznało cudownej jego opieki. Umarł w Krakowie 1489 roku, pochowany w kościele Panny Marji.

Sierota wiejski, ubogi rzemieślnik, mozolący się nad książką uczeń, kapłan i pasterz, każdy ma piękny przykład w błogosławionym Świętosławie, i przyczyny jego niech wzywa u Boga, aby w stanie swoim tak pracowity, wytrwały, pobożny, świątobliwy wieść mógł żywot. *B. E.*

Przerwane wesele.

I.

Idzie ludu gromada;
Postrojeni od święta
Różni chłopcy, dziewczęta:
Paradać to — parada!
Grajki grają ogniście,
Aż drżą w basach trojaki,
Wszystko idzie siarczyście,
Boć to zuchy chłopaki! —
Weseleć to ochocze,
Suwa przez wieś tłumami,
Jako sroczka chichocze,
Panna młoda z druchami;
A pan młody wywija,
Aż muzykę zagłusza,
Bo to, panie, raj — dusza —
Aże — Jezus Marja!

II.

Lecz z drugiego wsi końca
Druga idzie gromada,
Już nie taka gorąca,
Ni wesoła — ni rada;
Koń leniwo wóz wlecze,
Na nim liche trumnisko,
Koło wozu dziadzisko,
W trumnie — ciało człowiecze.
Biedny pogrzeb wieśniaczy...
Ani świateł jarzących,
Ni spiewaków płaczących,
Ni płaconych chwalaczy..
Szkapa czuje, co wiezie,
Bo łeb zwiesił ku ziemi,
I krokami wolnemi
Ledwie — ledwie, że lezie.

III.

Ale cóż to? wesele,
Pomięszało coś szyki,
Jaki hałas — i krzyki!
Panna młoda na czele,
Sama rwie się do ciała,
Sama leci z gromady
Jako ściana tak biała,
I pan młody coś blady,
Cóż to?... woła na dziadka,
Żeby z ciałem stanęli..
Co? — to ma być jej matka? —
A ona się weseli?!..
Być nie może — lecz przecie
Ona klęka — i płacze
„O! niedobre ja dziecię,
Że na grobie twym skaczę.
O mój Boże — oj Swięty!
Doczekanie też moje,
Mam już teraz za swoje,
Z tej uciechy przeklętej.“

I płakała tak rzewnie,
I swe grzechy wyznała,
Że tam w niebie już pewnie,
Przewinienie zmazała.

Lecz wesela nie było.
Panna młoda szła z ciałem,
Sercu jej się ulżyło,
Choć w strapieniu niemałem
Konik zawiózł jej matkę
Na sam cmentarz — daleko,
A weselną gromadkę,
Bolą serca — łzy cieką.
Wszyscy, wszyscy z wesela
Byli na tym pogrzebie,
Xiądz rzekł słówek nie wiela,
O litości na niebie.
Rzekł o dziecku, co bożej
Nieposłuszne jest woli,
Biednej wstydzi się doli
I przed sądem nie trwoży.
Panna młoda płakała
Aż się w oczach jej ćmiło;
Wrona z drzewin krakała,
I wesela nie było.

IV.

Ale wiedzieć też chcecie,
Zkąd wesele z pogrzebem?
Dziwne rzeczy na świecie;
Piekło łączy się z niebem.
Matka stara już wdowa
Miała córkę dorosłą,
Ale licho naniosło:
Dziewka jak lód surowa;
Ni się przed nią użalić,
Kiedy boli strapienie,
Ni z radością pochwalić,
Gdy ustaje zwątpienie.
Wszystko u niej jednako;
Matka żyje — czy zmiera,
Ona — szaty swe zbiera
I do karczmy z hulaką.

A hulaka był młody,
Co ją kochał szalenie:
Lecz kochanie z urody
Często niesie strapienie...

Więc też sobie oboje
Nie zważali na starą,
Ona swoje — ci swoje
I Bóg dotknął ich karą.
Bo hulaka narail
Weselisko cichaczem,
Przed starą się przyczaił,
I zakończył je płaczem.

Matka we łzach konała,
W starej chacie u dziada,
A jej córa hulała,
Bo tam w karczmie — biesiada.
Matce serce zamarło
Oko żalem się ćmiło,
Aż się śmiercią zawarło —
Córki przy niej nie było.
Dziad poczciwy z litości
Z desek trumnę jej sklecił,
Włożył zmarłe w nią kości
I tak Bogu polecił.

W chacie strzępa nie było;
Córce nie rzekł ni słowa,
Nie do tego jej głowa!
Ona hula," aż miło!

Ale zrobił to stary
W myśli zemsty i kary,
Bo nie lubił dziewczyny
Za tak ciężkie jej winy.

V.

Lecz Bóg chciał ją nawrócić,
Litościwszy od człeka,
Chcąc ukarać, zasmucić,
Na poprawę zaczeka.
Więc też dziewka stroskana
Nagle jakby ocknęła,
Pilnej pracy się jęła,
I jest dzisiaj kochana.

Odłożyli wesele,
A hulaka w kościele
Przysiągł, że się poprawi;
Już do karczmy nie chodzi,
Z kieliszkiem się nie bawi
I wygląda aż młodziej.

Więc im życzym wytrwania,
Bóg przebaczył im grzechy:
Więc im życzym pociechy,
I prędkiego pobrania.

J. K. Turski.

Bajka o dziesięciu palcach.

Długie wieczory adwentowe sprowadziły do chaty zamożnego gospodarza w Jodłowie Bazylego, prócz własnej licznej rodziny, kilka żwawych prządek z kądzielą, kilka sąsiadów i wujka kuśnierza. Kuśnierz Jędruch nie tylko był wujkiem Bazylego, ale wujkiem całej wsi. Stary siwowąsy, rumiany wiarus z dawnej daty, poczciwy, złotego serca i bystrego rozumu, kochany był od wioski; a choć nie miał własnych dzieci i dawno już bardzo, jeszcze za młodu owdowiał, toć przecież ojcem był niejednemu swoją opieką i radą. Mieszkał przy rodzonej siostrzenicy, która go szanowała i kochała – robił co mógł jeszcze, wódki nie pijał, dziwnie wesołego był zawsze humoru, a przysłowia i gładkie opowiadki sypały mu się z rękawa.

Umiał on opowiadać piękne rzeczy, wiedział wiele z dawnych czasów, widział wiele — pobożne i polskie serce biło mu w piersiach; to też słuchały go dzieci i starzy z rozkoszą, szanowała go gromada, a na wieczornice do Bazylego schodzili się chętnie, bo spodziewali się zawsze usłyszeć co nowego i pięknego z ust wujka kuśnierza. Wujko i z książek umiał czytać pożytecznych, i w sercach umiał czytać dobrze, i na nie jeden frasunek, na nie jedną biedę umiał poradzić i trafić.

Już jasne łuczywo strzeliło na czystą świetlicę, dziewczęta rzędem na ławie wrzecionami furczały pod piecem, babka z wnukami ciągle miała zachody, gospodarz zapaliwszy fajkę strugał obręcze, dzieci wybierały fasolę, kotek się wygrzewał na przypiecku, a gospodyni sama, młoda i ładna Marynka, niedawno zamężna za wdowcem Bazylim, koło stołu także usiadła z kądzielą.

W tem drzwi się otworzyły, wszedł oczekiwany, siwy wujko.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki, a siadajcież wujku, wyglądamy was dawno, a tęskni się już bez was.

Bazyli wstał, usadowił staruszka na najlepszem miejscu, podsycił łuczywo, dzieci przygarnęły się zaraz do kolan wujka a on głaskał ich jasne główki.

Zaraz wszczęła się rozmowa, wujko wypytał się o wszystko: o gospodarstwo, o krówkę ocieloną, o kurki marcówki czy się niosą, o sztuki konopne ile naprzędzono, o fury z lasa przywiezione, o to i owo, a najwięcej pytał Marynki młodej gosposi.

Marynka odpowiadała jakby nie swoja — czasem nawet dosyć kwaśno, czasem nie wiedziała co odpowiedzieć, jakby o czem innem myślała.

Marynka, trza wiedzieć, myślała często o swojej wsi, z której przybyła, a gdzie spędziła rozkosznie młode lata u bogatych rodziców, a sługi i zarobnice wszystko za nią zrobiły, myślała o pustotach wiejskich pod wrotami chaty, u studni, u rzeki, myślała o hulankach i muzyce w karczmie swojej i nie szło jej jakoś na własnem gospodarstwie, choć mąż dobry, stara babka jego poczciwa starowina, dzieci potulne, dostatek w komorze i stodole i w oborze.

Często bardzo siadłszy do kądzieli, ręce jej bezczynnie wisiały — wyszedłszy za wrota, rada rozmawiała długo z kim bądź — jednem słowem robić się jej nie chciało, jenoby dumała, baraszkowała lub spała.

Przejrzało to wszystko bystre oko wujka i żal mu było zaniedbanego gospodarstwa i młodej nierozumnej kobiety.

Wszyscy zawołali niedługo:

— Wujku powiedzcie nam co! prosimy was — jaką historję ładną, co ich tyle umiecie — wujku! powiedzcie!

Poczciwy wujko uśmiechnął się łagodnie, zerknął z pod oka na Marynkę, która siedziała z kądzielą a nie przędła, i tak się odezwał:

— Dobrze moje dzieci, ale dziś powiem wam nie historję tylko bajkę, prawdziwą — i to bajkę o czarach.

— O czarach! — zawołali wszyscy z śmiechem i zadziwili się — bo wujko w czary nie wierzył, nigdy nie opowiadał o duchach, o królewnach, o dziwach, ale mawiał śliczne historje z pisma św., o dawnych dziejach i królach polskich, albo opowiadał o wojnach, o sławniejszych miastach itp.

Ogromna więc ciekawość zebrała wszystkich, i poprawiając się, do słuchania się przygotowali.

Wujko tak zaczął:

— Moja bajka nie taka, jaką opowiadają czasem dzieciom, aby ich straszyć, o nie! Jest to przygoda, która się trafiła mojej nieboszczce babce Agnieszce; twoja matka Bazyli pamięta ją jeszcze trochę — była to kobieta zuch i obrotna co się zowie. Babka Agnieszka była także swojego czasu młoda, i mówiono, że nie było dziewczyny urodniejszej i weselszej. Na nieszczęście straciwszy za młodu matkę, pozostała z ojcem na wielkiem gospodarstwie zadłużonem.

Kłopoty i praca spadły na biedną dziewczynę, a ona z tego frasunku traciła głowę i tak radziła sobie, że nic nie robiła myśląc, jakby tu zrobić.

Jednego dnia stała sobie na progu, obie ręce pod fartuszkiem i tak sobie mówiła:

— Boże zmiłuj się, żebym robiła jak koń nie dałabym rady. Takam młoda, słaba, a tu na mnie wszystko. Pożal się młodych lat i mojej pracy, już ja tu nieszczęśliwa nie wyjdę na ład, żebyto kto poradził...

— Ja ci poradzę — odezwał się jakiś głos, i przed dziewczyną stanęła nieznana postać czarownicy — słyszałam twoje żale i przynoszę ci sposób.

Zrazu zlękła się dziewczyna, ale przyszedłszy do siebie zapytała z cicha i pokornie czarownicy, czego ona żąda od niej.

— Przychodzę ci pomódz — odrzekła podpierając się na lasce wysokiej i obrzucając się płachtą — dam ci sposób, że wszystka robota w domu zrobi się wybornie.

Ośmielona dziewczyna, ucieszyła się już i zapytała:

— Doprawdy? oj dobra kobieto, dajcież mi to ziele cudowne.

— Więcej jak ziele — odrzekła czarownica — przyprowadzam ci 10 małych robotników, którzy zrobią wszystko, co tylko im każesz?

— A gdzież oni są? — zawołała ciekawie dziewczyna.

Czarownica rozpostarła drugą płachtę i wypuściła z pod niej 10 nierównej wielkości karzełków.

— Te dwa — mówiła pokazując na dwa grube ale krótkie — są najmniejsze, pomogą ci w każdej pracy, choć nie swoją zmyślnością, ale siłą. Te dwa większe są zręczniejsze, umieją doić, prząść i wszystkie domowe roboty ci uskutecznią. Te dwa najwyższe są szczególnie zręczne do igły, i dlatego mają na głowie naparstki. Te dwa jeszcze mniej mądre, opasane pierścionkiem — dopomogą ogólnie do każdej pracy, również jak i te dwa najszczuplejsze, które mają bardzo dobrą wolę. Wszystkie 10 wyglądają niepozornie, ale zobaczysz co potrafią i osądzisz ich sama.

To mówiąc, stara czarownica skinęła ręką a karzełki rzuciły się po chacie i zagrodzie, a Agnieszka zdziwiona patrzała, jak sprawiały się umiejętnie z najgrubszą i najdelikatniejszą robotą, jak zwijały się i wszystko potrafiły.

Krzyknęła z radości i wyciągając do czarownicy ręce zawołała:

— Ach pożyczcie mi matko tych dzielnych robotników, a nic już nie chcę na świecie.

— Nietylko ci pożyczę, ale ci ich daruję — odpowiedziała stara — ale ponieważ nie mogłabyś ich wszędzie z sobą nosić, boby cię o czary posądzono, zrobię każdego takim małym aby się wszystkie wlazły w twoje 10 palców.

I tak się stało. Mądra czarownica na odchodnem powiedziała jeszcze do mojej nieboszczki babki:

— Dziewczyno! Wiesz już jaki skarb posiadasz. Pamiętaj, że wszystko zależeć będzie od sposobu, jakim go użyjesz. Jeżeli nie będziesz umiała zarządzić twojemi małemi sługami, jeżeli im dasz w próżniactwie stężeć, nie będziesz miała z nich żadnego zysku, ale pilnuj ich aby nie spały, nie odpoczywały, a praca, której się lękasz i boisz, zrobi się jak zaczarowana.

Prawdę powiedziała stara, moja babka Agnieszka posłuchała ją i nie tylko doprowadziła do ładu w gospodarstwie, ale przysposobiła nawet sobie oszczędnością i pracą wiano, z którem poszła szczęśliwie za mąż i umiała ośmioro dzieci wychować uczciwie.

Od tego czasu jest to pamiątką w naszym rodzie, że babka Agnieszka zostawiła swoich robotników i przekazała wszystkim gosposiom tego rodu, i że byleby te gosposie trochę się ruszały, małe robotniki się zwijają i dla nas wszystkich wielką korzyść sposobią. Dlatego to mamy zwyczaj mówić, że 10 palców gospodyni to cały majątek, cała radość i cały byt domu.

Kończąc te słowa, wujko kuśnierz zwrócił się do Marynki. Młoda kobieta zarumieniła się, spuściła oczy i naprostowała kądziel opartą o ścianę.

Cała rodzina i czeladź w milczeniu rozbierały sobie w głowie słowa i bajkę wujka. Każden sobie tłumaczył znaczenie, ale ładna gosposia zrozumiała już co do niej stosował wujko — wesołość wróciła na jej twarz, wrzeciono szybko latało w jej ręku a len znikał z kądzieli.

Pracowitość kobiety jest podstawą domowego bytu, a cnota kobiety stróżem całej rodziny! *B. E.*

POGADANKI NIEDZIELNE.

I.

O słońcu.

Przed schludnym domkiem nauczyciela wiejskiego, we wsi Popowicach, zbierała się zazwyczaj gromadka ludu co niedziela i święto po nieszporach na pogadanki, które nieraz przeciągały się aż do samej wieczerzy. Nauczyciel, mężczyzna w średnim wieku, bardzo był lubianym przez całą gromadę, bo nietylko, że im dzieci dobrze uczył w szkółce swojej, ale jeszcze rad był z rodzicami ich pogawędzić o różnych pożytecznych rzeczach, których albo się z książek, albo od mądrych ludzi w świecie nauczył. Nauczyciel mieszkał od lat kilku

w tej wiosce, i dlatego też młode lipki, które posadził około szkółki, miały czas dosyć pięknie się rozgałęzić i podrość. Pod temi to lipkami, na kamieniach i na ławeczkach przed domem, siadali ciekawi ludzie i słuchali, co im nauczyciel prawił.

Pomiędzy gospodarzami i parobczakami, było kilku piśmiennych, którzy nietylko czytali elementarze i xiążki od nabożeństwa, ale jeszcze i inne dobre xiążki przeszły już przez ich ręce. Najwięcej z nich byli rozgarniętymi: Tomek Skiba gospodarz, Grzela Rospendek młody parobczak, Franciszek Sajenka, który chociaż tylko na jedno oko patrzał, ale więcej widział i wiedział od niejednych, co po dwoje ócz mieli; bo przyglądał się wszystkiemu z ciekawością, wczytywał się bacznie i z rozwagą w xiążki, jakie czasem do czytania od xiędza proboszcza, od organisty lub od samego pana nauczyciela dostał. A nie stracił on oka od żadnych zbytków, tylko przy wielkim pożarze, kiedy chałupy sąsiadów ratując, końcem spadniętej łaty wybił je sobie nieborak! Ci trzej ludzie więcej i śmielej się wdawali w rozmowę z nauczycielem, że trochę więcej od drugich wiedzieli; i nie byli jak to mówią: „jak tabaka w rogu“.

Kiedy się już zgromadzili jak zwykle przed domkiem, szła rozmowa o kazaniu, które w tę niedzielę słyszeli w kościele. W kazaniu była mowa między innemi o tem, jakto Bóg wszechmocny z niczego stworzył świat ten cały, to słońce, co niby tak malutkie a całą ziemię szeroką ogrzewa i oświeca — ten miesiąc, który tak ziemi pilnuje i ciemności nocne swem światłem przebija — i te gwiazdy, co niby niezagasłe świece pomagają xiężycowi świecić nad nami po nocach. I była jeszcze mowa o ziemi, co na sobie tyle mórz, rzek, jezior, gór, drzew, zwierząt i tyle ludu nosi i żywi. A wszystkiego tego człowiek na swoją korzyść używa, i mimo tej wielkiej dobroci Bożej, często zapomina o wdzięczności ku Stwórcy swojemu i nadyma się nieraz ze swojej wielkości, a przecież nie jest w mocy zrobić z niczego i najmniejszego ziarneczka piasku i najmniejszej trawki lub listka na drzewie.

— Że słońce musi być wielkie, to z tego zauważać sobie można — odezwał się Sajenka — że choć tak jest od nas daleko, a przecież tak grzeje i oświeca ziemię szeroko: bo jużci małe

światełko tak wysoko zawieszone, nie dałoby się nam widzieć, albo też nie grzałoby wcale.

— Święta prawda! — rzekł Rospendek — że słońce jest wielkie, ale też musi być i wielkie morze, do którego to słońce co wieczór zapada.

— Ale choć ono tak wysoko wisi nad nami — przerwał Skiba — to przecież mądry król Salamon doleciał prawie już do niego na gryfie, i gdyby się temu ptakowi skrzydła nie opaliły, to byłby się dostał tam na dobre.

— Ja pamiętam — odezwał się ktoś z gromadki — jak słońce biło się raz z miesiącem: nie dało mu wleźć na siebie, ale miesiąc przemógł i do połowy je przywalił sobą i zaciemnił.

— Ale nie długo tam się zabawił — zagadnął ktoś drugi — bo czarownica, co na słońcu masło do końca świata klecić musi w kierzni, za to, że w święto je czyniła, zepchnęła miesiąc ze słońca.

Na te słowa powstał śmiech w gromadzie, a najbardziej uśmiechał się Sajenka i drwił sobie z czarownicy i z tego co plótł tę bajkę.

Nauczyciel umyślnie nie chciał im przerywać, snać, aby się nagadali do woli, aż w końcu tak się odezwał:

— Moi kochani, w tem co Sajenka powiedział o słońcu, jest dosyć i rozsądku i odrobina prawdy, ale co inni z was prawili o morzu, o jakimś gryfie, dziwnym ptaku, którego nie było na świecie, o czarownicach i o owej bajce z xiężycem, to tylko jest powtórzeniem tych bajek, które ciemni ludzie od wieków uroili sobie w głowie. Bo najprzód, wierzcie mi, że słońce nie zapada nigdy w morze, tylko od niego z ziemią się odwracamy, i że nikt na świecie ani o miljonową część nie mógł się jeszcze zbliżyć do słońca, a owa bójka niby z xiężycem, to się nazywa po prostu zaćmieniem słońca.

— Już to, bez urazy, my tego dobrze nie rozumiemy — odezwał się Rospendek.

— I mnie się zdaje, że to nie na nasz rozum.

— To też może pan nauczyciel z łaski swojej nam to wytłumaczy? — rzecze Sajenka.

Odezwały się z prośbą i inne głosy i pan nauczyciel tak im zaczął opowiadać o słońcu:

-- Bardzo mnie cieszy, poczciwi moi sąsiedzi, że myśl i oczy swoje zwracacie przedewszystkiem ku niebu, ku słońcu, które z woli Bożej najwięcej nam dobrodziejstwa na ziemi wyświadcza. Bez światła bowiem i bez ciepła słonecznego, ani ludzie, ani zwierzęta, ani nawet najmniejsza trawka żyćby nie mogły; wszystkoby zlodowaciało na świecie, a ziemia stałaby się grobem powszechnym śród ciągłej nocy. Dlatego też tak dobroczynny utwór Boski mocno zajmował ludzi, już prawie od samego początku świata; dziwiono się nad wielkiem gorącem słońca, nad jego niezmiennem pokazywaniem się i znikaniem nad nami w tym ogromnym, niezmierzonym dokoła przestworze, który nazywamy niebem. Otoż różni ciekawi, uczeni ludzie, tak zwani astronomowie, zastanawiając się nad tem doszli do tego przeświadczenia po tysiącach lat dochodzeń i obliczeń spisywanych ciągle, że słońce daleko — daleko jest większe od ziemi, bo przeszło tysiąc tysięcy razy tak wielkie jak nasza ziemia; i że od ziemi odległe jest przeszło dwadzieścia miljonów mil. Obliczyli też uczeni, że promień ze słońca dopiero w 8 minut dochodzi do naszego oka, i że jeśliby kto ze słońca spuścił kulę armatnią, to potrzebowałaby przez 15 lat spadać, nimby się dostała na naszą ziemię. Tak moi kochani, to jest zdumiewająca odległość, nieprawdaż?

A więc kiedy słońce jest tak wielkiem, tak wspaniałem, to czyż można sądzić, że ono tylko dla tak drobniuchnej ziemi miałoby się pokazywać i znikać, i obsługiwać ją swem światłem i ciepłem? Nie, zaprawdę! wszyscy już choćby trochę uczeni ludzie, wiedzą o tem dobrze, że nie słońce około ziemi, ale ziemia około słońca obracać się musi.

— To już trudno zrozumieć — odezwał się zakłopotany Rospendek — i dziwno mi bardzo, zkąd ludzie mogli się tego nauczyć?

— Opowiem wam o tem — rzekł nauczyciel — jak będę mógł najlepiej. Otoż wszyscy prawie pamiętacie, jak przed kilkunastu latami, astronomowie co do dnia, co do godziny i co do minuty nawet przepowiedzieli, że słońce wtedy a wtedy

zaćmi się całe na chwilę, i pamiętacie też zapewne ową kometę z wielkim ogonem, co to z taką trwogą spodziewali się jej ludzie latem w 1858 roku?

— O pamiętamy to dobrze — odezwało się kilka głosów — czekaliśmy tej godziny ze strachem

— A więc pokazuje się, że nauka coś znaczy na świecie, kiedy takie rzeczy uczeni ludzie na długo wpierw przewidzieć mogli. Ale posłuchajcie mnie dalej. Nie tak zbyt dawno, bo dopiero od niecałych 400 lat, ludzie się przekonali, że nie słońce około ziemi, ale ziemia kręcić się musi około słońca. Tym uczonym, co tak wielkie odkrycie zrobił i o niem wszystkich przekonał, był nasz rodak Mikołaj Kopernik, sławny astronom, co się najprzód w krakowskich szkołach nauki o gwiazdach i o słońcu uczył, i który ma swój pomnik w Warszawie. Żebyście to dobrze mogli zrozumieć, to wam objaśnię, że ta ziemia, xiężyc, jak i słońce są to niesłychanie ogromne kule, które rzucone w świat z woli Bożej, krążą zawsze po jednej drodze i nigdy się nie spotkają z sobą. Któż z nas zrozumieć i pojąć to może, jak ten świat jest wielkim, kto z nas domyśleć się nawet może, gdzie jest jego początek, a gdzie koniec? Czujemy tylko i widzimy, że cały ten bezdenny przestwór niebieski jest niezmiernie ogromnym, że za chmurami jest xiężyc, za xiężycem gwiazdy, a za gwiazdami nieskończoność, głębia bez końca...., nauka przytem nam pokazuje; że ziemia jest tylko małym proszkiem tej nieskończoności.

Kiedy spojrzymy na słońce, gdy jest za bladą chmurką, że nie razi nam oczu, to widzimy jasny krąg jego; a ludzie uczeni przekonali się jeszcze, że jest ono jak okrąglutka kula. Kula ta obraca się prawie jakby w miejscu, a ziemia dokoła niej okręca się w ciągu roku jednego, to jest przez 365 dni. Żeby słońce obróciło się około siebie raz jeden, potrzeba na to dni 25 i pół, ziemia zaś okręca się w miejscu prędzej, bo przez jedną dobę tylko, czyli przez 24 godzin. Kiedy się ziemia odwróci ku słońcu, to mamy tutaj dzień, a jak od słońca, to noc, i dlatego to jak się z ziemią odwracamy na noc od słońca, to nam się zdaje, że to słońce się zniża, chociaż tak nie jest; kiedy się znowu wychylimy na wierzch, to widzimy napowrót

słońce zrana na wschodzie. Ale ludzie nauczyli się już od dawna mówić: słońce wschodzi, słońce zachodzi — więc i powtarzają tak ciągle, i nic to nie szkodzi, bo to jakoś poręczniej powiedzieć, tylko trzeba dobrze rzecz rozumieć.

— Oj, układa mi się to jakoś w głowie — przerwał Sajenka — bo na ten przykład jak się zdarzy w misce wody zamieszać razem drobne gałki z naci kartoflanej (bajdurki) z większemi, to te drobne zawsze się prędzej i szerszem kołem obracają, a te duże kręcą się też trochę, ale prawie na miejscu; tak to i słońce, że jest bardzo wielkie, a ziemia że jest tak malutka, podobnie się kręcić muszą.. To ja sobie już uważam... tylko tego nie wiem jeszcze, jak to ludzie mogli się dowiedzieć, że to słońce jest okrągłe i do tego wygląda jak kula ogromna? Lub, jak też to ludzie mogą się utrzymać na ziemi, kiedy ona się przewala z niemi na około słońca?

— Powoli! powoli! — rzekł nauczyciel — naraz o wielu rzeczach nauczyć was nie mogę; to też najprzód dokończę wam o tej kulistości słońca. Otoż przez wiele, wiele lat pracowali ludzie nad tem; już to za pomocą rozmaitych spostrzeżeń i znaków zapisywanych do xiąg, już też przy pomocy szkieł takich, które i sześć tysięcy razy powiększają każdą rzecz, jak się przez nie patrzy, aż się przekonali w końcu, że słońce jest kulą. Szkła takie powiększające, wypukłe, obsadzone w wielkie rury, są zielone lub niebieskie, żeby oka nie raziły, jak się patrzy na słońce, a nazywają się *teleskopy*, czyli *dalekowidy*. Przez nie dostrzegli astronomowie, że i „słońce ma plamy", i że te plamy ciemne obracają się zawsze ze słońcem ku wschodniej stronie, i nikną, a po upływie 25 i pół dni, z drugiej strony słońca od zachodu zawsze się pokazują; a więc jest dowód z obrotu tych plam, że one nie mogą być na płaskiem kole, ale na kuli, która się obraca wciąż koło siebie i znowu w otchłań niebieską bieży, bo żaden twór niebieski nieruchawym być nie może — taka już była wola Boża, a dla nas nauka, że w otrętwiałości żyć i nam nie można. To samo słońce ciągnąc za sobą ziemię naszą, musi się znowu około innego większego słońca swojego obracać, a które tak jeszcze głębiej tkwi w niebieskiej przestrzeni, że nam się zdaje tylko gwiazdką

błyszczącą, jakby łepek od szpilki; boć przekonano się już i o tem, że wielkie mnóstwo jest gwiazd na niebie, które znowu są słońcami dla innych światów i dla takich ziem jak nasza. Pomyślmyż sobie: cóż to za dziwna, niezmierzona potęga i mądrość Boga Stworzyciela, który miljonom tych tworów niebieskich tak niechybne drogi przeznaczył, że krążąc tam wysoko, nigdy nie zawadzą o siebie!

— Ale żeby skończyć o słońcu, to trzeba wam jeszcze wiedzieć, że nie jest ono wcale rozpaloną kulą, jakby się to mogło zdawać na pozor. Przekonano się przeciwnie, że słońce jest z tego samego rodzaju ciał, czyli tworów świata jak nasza ziemia, a więc że samo z siebie jest ciemne, a tylko dokoła siebie ma płomieniste powietrze, czyli gazy, które swemi promieniami tak naszą ziemię oświecają i ogrzewają. Promienie zaś te tylko przy zetknięciu się z naszem powietrzem ziemskiem sprawiają dopiero ciepło i gorąco, a bliżej słońca są one zimne.

— A jak to być może! — zagadnął Stajenka — przecież im bliżej ognia, tem większe gorąco?

— Tak — rzekł nauczyciel — ale promienie słońca nie są wcale podobne do naszego ziemskiego ognia. Żeby wam to choć w części objaśnić, to weźcie sobie tylko na uwagę, że na bardzo wysokich wierzchołkach gór w obcych krajach, ba! nawet i na naszych Karpatach za Krakowem, śnieg albo późno w lecie, albo też nigdy nie topnieje, choć przecież wierzchołki te bliższe są słońca niż dolina. A więc i w tem dowód, że promienie słońca nie tak wysoko nad nami, ale tylko przy zetknięciu się z powietrzem, które ziemię otacza, rozgrzewają się, a przeto i ocieplają ziemię. Jeżeli promienie te, jak w ciepłych krajach, spadają ze słońca prosto ludziom na głowy, to wtedy na ziemi jest bardzo gorąco, a jeżeli spadają pochyło, z boku, to ludziom jest zimniej na ziemi, jak naprzykład u nas w Polsce, w zimie, a jeszcze zimniej jest tam, gdzie słońce zupełnie pochyło i bardzo krótko rzuca promienie na ziemię. (Z.)

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.